

J
E
J



PENELOPE BLOOM

ALBATROS

1. Hailey

Moja babcia zawsze mawiała, że pieczenie przepędza wszelkie smutki. Babcia była urocza i potrafiła piec takie ciastka, że kapcie spadały z nóg, ale w kwestii smutku bardzo się myliła. Od dwóch lat wydaję z pieca w mojej piekarni i cukierni gorące tarty z wiśniami, drożdżówki, croissanty, bajgle i wszystkie wypieki, jakie tylko można sobie wyobrazić. I według mnie, jeśli pieczenie coś „przepędza”, to tylko wąską talię i chęć stosowania się do diet.

W sumie nie byłam smutna. Po prostu właśnie skończyłam dwadzieścia pięć lat i uświadomiłam sobie, że nie mogę beczynnie czekać, aż moje życie wreszcie zacznie się na dobre. Może i łapię wszystko w zwolnionym tempie, myślałam jednak, że jeśli zacisnę zęby, będę ciężko pracować i zachowywać się jak grzeczna dziewczynka, wszystko inne się ułoży. Tymczasem wpadłam w wygodną dla siebie rutynę, a czas pędził coraz szybciej i szybciej.

Gdybym się nie zreflektowała, zostałabym osiemdziesięcioletnią dziewicą piekącą babeczki, które potrafią wywoływać spontaniczny orgazm. Wspaniałe umiejętności cukiernicze, smutne życie. Nie do końca o tym marzyłam. W głębi duszy wiedziałam, że jeśli wciąż będę unikać swoich szans, tak jak unikałam czyszczenia zębów nitką – chyba że następnego dnia szłam do dentysty – skończę jako stara zrzędliva dziewica piekąca wyśmienite ciasta.

Pieczenie jest proste. Ma sens. Dodaj tyle, odejmij tyle, piecz w takiej i takiej temperaturze, odstaw na tak długo. To nauka i jeśli człowiek pilnuje tego, co robi, wie, czego się spodziewać. Właśnie to podoba mi się w pieczeniu. W piekarni czułam się bezpiecznie i gdyby siostra i Ryan, mój jedyny pracownik, nie truli mi cały czas na temat braku życia towarzyskiego, prawdopodobnie uciekłabym w pieczenie do tego stopnia, że byłabym zgubiona. Moje weekendowe plany obejmowały poszukiwanie świeżych składników na rynkach, na których lokalni rolnicy wystawiali swoje towary, wypróbowywanie nowych przepisów i ulepszanie już istniejących. Pieczenie było moim życiem. Nie zdziwiłabym się, gdyby w moich żyłach płynęło nadzienie wiśniowe. W końcu nosiłam na sobie mąkę o wiele częściej niż makijaż. Istniało pieczenie i moje życie. Łatwo było żywić nadzieję, że pewnego dnia jedno zderzy się z drugim, że wszystkie moje marzenia o rozwinięciu piekarni i udoskonaleniu przepisów w jakiś sposób zaprowadzą mnie do czegoś podniecającego, bo tego mi brako-

wało. Czasami odnosiłam wrażenie, że jestem zamknięta w pokrytej ciastem klatce – smacznej, ale jednak klatce.

Owszem, kochałam to, co robiłam, ale nie, babciu, pieczenie nie jest lekiem na całe zło.

Jedyne, co musiałam przy nim robić, to patrzeć na stary podniszczony podręcznik ze studiów, podłożony pod nogę kuchenki. Kupiłam ją używaną i w kiepskim stanie, z jedną nóżką krótszą właśnie o grubość podręcznika *Biologia morza i dynamika rzadko występujących ekosystemów*. Brzmiało to, jakby ktoś wrzucił do blendera kilka naukowych słów i uważał, że obnosząc się z nimi, studenci poczują się mądrzy. A w dodatku do książki przyklejono cenę – trzysta dolarów! Gdy w szkolnej bibliotece zaproponowali mi odkupienie jej za jedną trzydziestą tej kwoty, odparłam, że mogą pieprzyć siebie i te dziesięć dolców.

No dobrze, nie odparłam, tylko pomyślałam. Tak naprawdę to grzecznie się uśmiechnęłam, odpowiedziałam „Nie, dziękuję”, a potem, żeby się uspokoić, w drodze do domu słuchałam Matta Costy. Przez całe życie pracowałam w obsłudze klienta i wiedziałam, jak niesprawiedliwe jest obwinianie osoby za biurkiem o to, na co nie ma wpływu.

Tak więc sześć czy siedem lat temu zagoniłam podręcznik do roboty. Skoro nie chciano mi oddać za niego moich trzystu dolców, postanowiłam znaleźć inne sposoby, by pieniądze się zwróciły. Najpierw książka służyła za odbój do drzwi w akademiku; studiowałam socjologię, z

której dyplom leży gdzieś w szafce i pokrywa się kurzem. Ciągłe ktoś na nią wpadał i potykał się, jawnie ją ignorując. A kiedy kopnęłam w nią palcem u nogi, wyzwalałam ją od grubych, co oczywiście było przesadą, nie miałam jednak zamiaru przeproszać książki. Gdy nie pracowała jako odbój, dorabiała w charakterze narzędzia do zabijania pajaków. A kiedy kot postanowił zwymiotować na moją poduszkę, książka mi ją zastąpiła. Zabazgrałam nawet większość jej marginesów. A teraz? Teraz pełniła funkcję kamienia węgielnego pod moją kuchenką. W gruncie rzeczy stała się kamieniem węgielnym mojego biznesu.

Pewnie trochę przesadzam, ale prawda i ciasta są do siebie bardziej podobne, niż można by przypuszczać. Wystarczy tu dodać, tam ująć, w razie konieczności trochę ugnieść i *voilà* – można przełknąć nawet gorzką pigułkę. Albo babeczki.

Uwzględniając wszystkie zasługi książki, powiedziałabym, że po latach była warta co najmniej dwadzieścia dolców. Zostało jeszcze dwieście osiemdziesiąt. Oczywiście istniał dodatkowy powód, dla którego zostawiłam tę głupią książkę, podczas gdy inne podręczniki o zawyżonych cenach zbyłam za taniochę. To właśnie w niej po raz pierwszy nabazgroliłam jego imię i narysowałam wokół małe serduszko. To właśnie tę książkę trzymałam, gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy po zajęciach – przyciskałam ją do piersi i do mojego walącego serca. Nathan. Chłopak mych snów, który zamienił mnie w odrażającą stalkerkę z piekła rodem.

Zawdzięczałam mu swoje dziewictwo – przynajmniej częściowo. Nie wiedziałam, czy istnieje coś takiego jak pourazowa choroba świruski, ale jeśli tak, to Nathan mnie nią zaraził. Po nim stałam się mistrzynią w odpychaniu wszystkich i wszystkiego, co miało penisa. Zatrzymanie tej książki było metaforycznym sposobem zawieszenia na środku mojego życia tabliczki ostrzegawczej z napisem: *Strzeż się penisa, bo sprowadza niebezpieczeństwo*.

Postawiłam ostatnią tartę wiśniową na oprószonym mąką stalowym stole przy piekarniku. Wyglądały idealnie, tak jak powinny wyglądać. Jeśli chodzi o wypieki, dawałam z siebie wszystko. Miałam notes pełen przepisów i zmian, które wypróbowywałam w poszukiwaniu idealnej równowagi między smakiem a konsystencją. Wiele stron wypełnionych różnicami między dodaniem jednej szklanki cukru, trochę więcej niż szklanki albo niepełnej, cukru w dwóch partiach i tak dalej. Jeśli pieczenie jest nauką, to ja byłam szalonym naukowcem. Babeczkową czarodziejką. Skoro ludzie mieli przychodzić do mojej piekarni, żeby sobie pofolgować, musieli mieć pewność, że będzie im smakować każdy kęs.

Pieczenie nie pomogło mi pozbyć się pustki, która zadomowiła się głęboko w moim sercu, ale dało mi cel. Wiedziałam, że jestem w tym dobra, i chciałam kiedyś powiększyć piekarnię. Pierwszym krokiem było wykombinowanie sposobu na płacenie rachunków, ale hej, gdyby rządzenie światem było łatwe, wszyscy by to robili.

Moja młodsza siostra, Candace, zajrzała do mnie w drodze do pracy. Była redaktorką w „Business Insights” i zawsze wpadała do piekarni po bajgla. Jej krótkie blond włosy podskakiwały z każdym krokiem, gdy w podrygach podchodziła do lady. Odsunęła okulary przeciwsłoneczne na głowę i uniosła brwi.

Strzepnęłam mąkę z dłoni, a potem delikatnie kopnęłam książkę, tak na wszelki wypadek. Żałowałam, że zamiast niej nie mogłam kopnąć jego, ale na razie musiała mi wystarczyć. Szkoda, że nie wyszło mi z laleczką voodoo.

– I jak tam się dziś czuje moja ulubiona dziewczina? – spytała radośnie Candace.

– Ale wiesz, że mogłabym napluć ci do bajgla, prawda? – Przygotowałam się psychicznie na wykład o moim dziewictwie. Siostra wygłaszała je mniej więcej raz w miesiącu, prawdopodobnie wtedy, gdy wyglądałam wyjątkowo mizernie.

– Łaaa! ślina dziewczicy. Słyszałam, że ma magiczną moc. Bardzo proszę, chętnie trochę jej przyjmę razem z serkiem śmietankowym.

– Jesteś obrzydliwa. A poza tym jeśli moja historia może być jakąś wskazówką, to moja ślina posiada wyłącznie moc antyafrodyzjaka.

– Hm... z tym może być problem.

– Wiesz, gdybyś przestała tak często wykrzykiwać, że jestem dziewczyną, nie wiedzieliby o tym wszyscy z mojego otoczenia.

– Wszyscy z twojego otoczenia. W porządku. Czyli Ryan i babcia?

– Kretynka – mruknęłam. Odwróciłam się i zaczęłam walić pięściami w kule ciasta. Nie była to technika, którą odkryłam w celu uzyskania jego idealnej konsystencji, ale pomagała mi pozbyć się stresu.

– Zdaje się, że jest jeszcze...

– Miałśmy o nim nie rozmawiać, pamiętasz? – prze-rwałam siostrze.

– Hailey, tłumienie w sobie emocji nie jest zdrowe. Widziałas *Ja, Irena i Ja*? W tym filmie Jim Carrey myślał, że tłumienie wszystkiego w sobie to dobry pomysł. I jak skończył?

Wzruszyłam ramionami.

– Coś mu się stało? – spytałam.

– Otóż to. Doszło u niego do rozdwojenia jaźni i osza-lał. Jeśli nie będziesz uważać, skończysz na dzieleniu się swoim ciałem z jakąś szurniętą laską o imieniu Hanketta, która zacznie wszczynać bójki z sześciolatkami w knaj-pach. Chcesz tego?

– Czy to było pytanie retoryczne?

Oparła się o ladę i spojrzała na mnie jak na ranne smutne zwierzę.

– Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa – powiedziała.

– A ja chcę, żeby moja siostra mniej martwiła się moim nieistniejącym życiem seksualnym, a więcej tym, co jest naprawdę ważne.

– No jasne. Seks jest nieważny. Pójdę więc i powiem ludzkości, że od samego początku robi to źle. Przestańcie naciskać. Odłóżcie penisy. Zniszczcie wszystkie formy do odlewania dildo. Zaciśnijcie uda, koniec zabawy! Przez cały ten czas seks był przereklamowany!

– Formy do odlewania dildo? Serio?

Wzruszyła ramionami.

– A jak myślisz, jak są produkowane?

Spojrzałam na nią groźnie.

– Wolałabym o tym nie myśleć. Po prostu próbuję ci przekazać, że nie śpieszy mi się, żeby przelecieć pierwszą napotkaną rzecz, która się rusza.

– A może powinnaś. Przemyśl temat. Jesteś dwudziestopięciolatką. Miałaś dwadzieścia pięć lat na stworzenie warunków dla tej zmieniającej życie wielkiej chwili. Dziewczyno, narzucasz sobie zbyt wysokie standardy. Po prostu wyjmij kij z dupy i wyluzuj.

– „Wyjmij kij z dupy i wyluzuj”. Słowa mądrości Candace. Może powinnam wyrycić na twoim nagrobku?

– A kto mówi, że umrę jako pierwsza? To ja będę musiała wyrycić: „Tu leży najstarsza i najsmutniejsza dziewczyna świata. Może gdyby pozwoliła facetowi wejść w siebie na sześć cali, nie leżałaby teraz sześć stóp pod ziemią”.

Gwałtownym ruchem wyjęłam bajgiel i zaczęłam go grubo smarować serkiem śmietankowym. Nie lubiła tak grubo, ale miałam to gdzieś. Owinęłam bajgiel papierem woskowym i podałam go siostrze.

– Jeśli już skończyłaś, to proszę. Ryan powinien się pojawić w ciągu kilku minut, a przez ciebie stał się chyba jeszcze bardziej irytujący niż ty z tymi swoimi próbami zeswatania mnie z kimś, więc może zrób sobie przerwę i pozwól mu przejąć pałeczkę.

Wzięła bajgiel.

– Powiedziałam mu o tym, bo myślałam, że to on do-
bierze się do tej twojej pokrytej pajęczynami brzoskwinki.
Skąd mogłam wiedzieć, że rzuci się na główkę do frien-
dzone i zamieni się w Pana Swata?

Skrzywiłam się.

– Czasami pręginasz z tymi swoimi obrazowymi opi-
sami.

– Kochana jesteś. Ej, a co to? – spytała, podnosząc ko-
pertę, którą wcześniej otworzyłam i położyłam na blacie.

Wyrwałam ją jej.

– Nic takiego. Jakaś głupia reklama.

– Ach, tak, klasyczna głupia reklama zawierająca na-
kaz eksmisji, żeby zwrócić twoją uwagę. Mnie też zawsze
to wysyłają. No dobra, dziewczynko, pilnuj swojego dzie-
wictwa. – Posłała mi całusa i wyszła, zabierając ze sobą
bajgla.

Po jej wyjściu spojrzałam na list. Była to informacja,
że albo w ciągu tygodnia zapłacę czynsz za mieszkanie,
albo zostanę eksmitowana. Nadal nie wiedziałam, jak so-
bie z tym poradzę, bo za niecałe dwa tygodnie miałam
zapłacić czynsz za piekarnię, a jeśli mi się to nie uda, bę-

dzie to już trzeci raz w tym roku. Westchnęłam. Zawsze znajdowałam sposób, by utrzymać się na powierzchni – i teraz musiałam coś wymyślić. Jeszcze tylko kilka tygodni, jeszcze kilku klientów i piekarnia zacznie wreszcie przynosić zyski.

Porządnie potrząsnęłam mikserem, aż wreszcie zaczął warczeć i kręcić się tak, jak powinien. Większość sprzętu pamiętała lepsze czasy, ale przynajmniej należała do mnie. Odczuwałam głęboką satysfakcję ze świadomości, że zapracowałam na wszystko, co tutaj mam. Piekarnia była moim dzieckiem, a tarty z wiśniami były... Dziećmi mojego dziecka? Jeśli zacznę za bardzo nad tym rozmyślać, zrobi się dziwnie. Kochałam tę piekarnię – zawsze mogłam na nią liczyć, nawet wtedy, gdy miałam wrażenie, że reszta mojego świata rozpada się na kawałki. Była moim małym sanktuarium, chociaż czasami czułam się w niej jak w klatce.

Ryan jak zwykle przyszedł na czas. Był świeżo po college'u, bardzo – może nawet niesamowicie – przystojny, ale z jakiegoś powodu od samego początku traktowałam go jak młodszego brata. A on musiał się tak czuć, bo od początku zachowywaliśmy się jak rodzeństwo, które odnalazło się po latach. Zawsze próbował pomóc mi w naprawie mojego życia, a ja zawsze starałam się chronić go przed kłopotami, w których znajdowaniu wykazywał wyjątkowe zdolności.

Miał ogoloną głowę, kilka tatuaży – nic zwariowanego – i był wspaniale umięśniony. Jego wyraźnie zarysowane przedramiona wskazywały na kogoś, kto swego czasu wyrabiał bardzo dużo ciasta. Popatrzył na mnie ciepło brązowymi oczami.

– Masz dzisiaj namiętą randkę? – spytał.

– Wiesz, Candace właśnie skończyła swój wykład. Może moglibyśmy pominąć dzisiaj gadki o dziewictwie? – Zaczęłam delikatnie zdejmować ciasta z tac.

Podszedł do mnie, oparł się o blat i szturchnął lekko moje ramię; jak zwykle popatrzył na mnie tak życzliwie, że siłą rzeczy pomyślałam, że jest uroczy. Może i miałam dość jego ciągłych prób wciągnięcia mnie w świat randek, wiedziałam jednak, że jest bardzo wrażliwy, i nie potrafiłam się na niego gniewać.

– Oto, co zrobisz. Wybierz faceta dzisiaj. Jakiegokolwiek. – Ten pomysł najwyraźniej przypadł mu do gustu, bo uśmiechnął się szeroko. – Pierwszego gościa, który kupi tartę wiśniową. Wybierz go. Tylko bądź odważna. Bądź sobą. Zaczynj z nim flirtować. Nie musisz zapraszać go na randkę ani nic z tych rzeczy. Tylko... no wiesz... skomplementuj go i zaczniemy coś na tym tworzyć.

Westchnęłam.

– Nawet gdybym to rozważyła, to co będzie, jeśli pierwszy klient, który kupi tartę wiśniową, okaże się facetem z wąsami i ze smarkami na rękawie?

– Dobrze. Pierwszy facet, który kupi tartę wiśniową i nie włączy w twojej głowie alarmu ostrzegającego przed czubkami. Co ty na to? A w ogóle to kto ma na rękawach smarki? Z kim ty się zadajesz?

– Strasznie śmieszne – odparłam, próbując odrzucić pomysł, zanim Ryan pomyśli, że się na niego zgadzam.

Najwyraźniej on i Candace sądzili, że seks rozwiąże wszystkie moje problemy. Nie byłam tego taka pewna, chociaż w moim przypadku brak seksu był ironią losu – codziennie sprzedawałam ludziom tarty z wiśniami, ale nikomu nie pozwoliłam tknąć swoich wisienek.

– To wcale nie miało być śmieszne – rzucił Ryan. – To zakład. Hailey, mówię zupełnie poważnie.

– Zakład?

– Właśnie. Wiesz, że oszczędzałem przez całe wakacje?

– Tak... – odparłam powoli, bojąc się tego, co zaraz usłyszę.

– Albo w to wejdiesz, albo wydam wszystko podczas targów Sheffield.

Poczułam, jak narasta we mnie panika. Piekarnia znajdowała się na obrzeżach centrum Nowego Jorku i jedną z najlepszych okazji, by została zauważona, był konkurs na ciasteczka podczas targów. Kilku najlepszych cukierników pokazano nawet w The Food Network. Cekało mnie mnóstwo pracy, a Ryan doskonale wiedział, że nie mam nikogo innego, kto by mi pomógł w przygotowaniu sprzętu i składników.

– Nie zrobiłbyś tego – powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

– Chyba musisz zadać sobie jedno pytanie. Czy czujesz się szczęśliwa, dziewico? No?

– Kretyn – jęknęłam.

Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, ale doskonale wiedział, że przyparł mnie do muru.

– Czyli zakład?

– Wiesz, że teraz nie mogę odmówić. Ale nie wolno zmieniać zasad. Muszę tylko zacząć z nim flirtować. Jedno zdanie. To wszystko.

– Tylko o to proszę. Przynajmniej na razie.

I na tym rozmowa się skończyła. Zaczęliśmy dzień jak zawsze – oczywiście pomijając ten absurdalny zakład. Presja wywierana przez mojego zwykle łagodnego przyjaciela osiągnęła nowy poziom, ale po kilku minutach zdążyłam już o tym zapomnieć.

Przygotowaliśmy gablotę, upiekliśmy chleb, który traci świeżość znacznie szybciej niż ciasta, i ostatni rzut bajgli. Rano sprzedawały się najlepiej, a przy okazji wielu klientów brało bochenek chleba na później albo ciasto na kolację.

Naszą pierwszą klientką jak co rano była Jane. Mogłabym przysiąc, że miała designerski kostium ze spodniami na każdy dzień roku – chyba jeszcze nigdy nie widziałam jej dwa razy w tym samym stroju. Była po czterdziestce i miałam nadzieję, że kiedyś będę taka jak ona. Silna.

Władcza. Pewna siebie. Modna. Jakoś wątpiłam, by trzymała stary podręcznik ze studiów w charakterze worka treningowego, by wyładowywać frustrację wywołaną prześladowającym ją byłym chłopakiem.

Spojrzałam na swój fartuch cały w mące i nudne dzin-sy. Na górze miałam różową koszulkę z kołnierzykiem, nazwą piekarni i logo na piersi: *Balonowy Piekarz*. Logo przedstawiało pucołowatego człowieczka w kucharskiej czapce, robiącego wielkiego balona z gumy. Prawdopodobnie bardziej realistyczne byłoby nazwanie mojego interesu Piekarką, Która Ma Problemy z Nawiazywaniem Kontaktu Wzrokowego, Gdy Do Ciebie Mówi albo może Nietknięte Wisienki Hailey, ale jakoś wątpiłam, czy te nazwy miałyby szansę na rynku.

Podziękowała mi i powiedziała ten sam żart co zwykle.

– Jeśli mam pokonać ruch uliczny, muszę już lecieć. – Zaśmiała się. – Oczywiście nie dosłownie.

Nigdy nie wiedziałam, czy śmieszne miało być to, że dosłownie miałyby lecieć, czy pokonać ludzi w ruchu ulicznym. Tak czy inaczej, uśmiechnęłam się i pomachałam, gdy wychodziła – tak jak zawsze.

Następne kilka godzin minęło w pośpiechu – wizyty stałych bywalców, nowe twarze i klienci pomiędzy. Ja zajmowałam się głównie uzupełnianiem asortymentu, podczas gdy Ryan miał bezpośredni kontakt z kupującymi. Lubiłam ludzi, miałam jednak talent do przypadkowego ich odstraszenia. Kiedyś, jeszcze przed Nathanem, byłam

królową w nawiązywaniu przyjaźni „za bardzo, za szybko”, więc stopniowo przełączyłam się na „w ogóle i nigdy”, co z powodzeniem doprowadziło mnie do obecnej – głównie samotnej – egzystencji.

Mały dzwonek nad drzwiami zadzwonił, a ja odwróciłam się, by przywitać klienta szybkim kiwnięciem głową i uśmiechem, ale zamarłam, gdy go zobaczyłam. Był wysoki i barczysty. Miał niedbale rozrzucone, trochę oklapnięte, ciemne włosy; coś takiego wygląda dobrze tylko u niektórych facetów. Nie miał konkretnej fryzury, ale właśnie dzięki temu wyglądał bardzo seksownie. Jego włosy здаwały się mówić: „Nie potrzebujemy głupiego grzebienia ani żadnych produktów do pielęgnacji – wystarczy spojrzeć na jego twarz i ciało”. I stojąc tam, gdzie stałam, nie mogłam się z nimi nie zgodzić. Zresztą i tak pewnie bym nie dyskutowała z czyimiś włosami – przynajmniej nie na głos.

Nosił garnitur w taki sposób, na jaki – moim zdaniem – mogą sobie pozwolić tylko źli faceci w filmach – za dużo odpiętych guzików, by wyglądać profesjonalnie, z dumą odsłonięte tatuaże na piersi i przedramionach. Wszystko w tym mężczyźnie świadczyło o buncie i pewności siebie – tylko ślepy by tego nie zauważył.

A ja? Nie byłam ślepa. Stałam jak ta kretynka i gapiłam się na niego wielkimi oczami, z rozdziawionymi ustami i rękami wiszącymi luźno po bokach, gdy uświadomiłam sobie, że Ryan celowo go ignoruje.

Nieznajomy patrzył na mnie niebieskimi oczami, które sprawiły, że stanęło mi serce. Powoli uniósł jedną brew. Nawet czas zdawał się wstrzymywać oddech. Nie byłam w stanie powiedzieć, jak długo trwała ta niezręczna cisza. Trzy sekundy? Cztery?

– Balonowy Piekarz – odezwał się w zadumie cudownie głębokim głosem z idealną męską chrypką. – Nazwa najwyraźniej nie odnosi się do pani osobowości, inaczej musiałyby brzmieć Piekarz Katatonik.

Teraz już wiedziałam, jak czują się ryby wyławiane z oceanu. W jednej chwili zajmują się swoimi sprawami, a w następnej ich świat wywraca się do góry nogami. Wystarczy sekunda i nic już nie będzie takie samo. Nawet jeśli uda im się ześlizgnąć z łodzi, już zawsze będą wiedziały, że nad powierzchnią wody czeka dziwny, fascynujący świat. Albo, w tym przypadku, wyjątkowo seksowny facet, po którym wszyscy inni już zawsze będą wyglądać jak tanie podróbki.

Odchrząknął.

– A może patrzy pani tak na mnie, bo piekarnia jest zamknięta i zapomnieliście przekręcić klucz?

Dźwięk jego głosu wystarczył, bym wróciła do rzeczywistości. Zamknęłam usta, przełknęłam z trudem ślinę i wypowiedziałam słowa jak normalna istota ludzka. Chciałam mu udowodnić, że jestem człowiekiem.

– Jestem szeroko otwarta... Mam otwarte – doda-

łam szybko na widok błysku rozbawienia w jego oku. – Piekarnia jest otwarta... Tak.

– Świetnie – odparł, przeciągając sylaby. – Czyli mogę kupić bajgla?

– Właściwie – wtrącił Ryan, który podszedł do lady z wyrazem twarzy wieszczącym kłopoty – to przed chwilą nam się skończyły. Ale z pewnością będzie panu smakowała nasza tarta z wiśniami.

Mężczyzna popatrzył na mnie, na niego, a potem na dziesiątki świeżych bajgli, które niedawno wyłożyliśmy, czekających tylko, by je przekroić i podać.

– A to są...

– Bajgle z wystawy – rzucił Ryan. – Kompletnie niejadalne. Gdyby próbował pan zjeść choćby jednego, połamałby pan sobie te ładne zęby.

– Ale co ja mam zrobić z tartą z wiśniami o dziewiątej rano? – spytał nowy klient.

– Eee... no cóż – zająknął się Ryan. – Może pan zabrać ją do pracy? Podzielić się nią z kolegami. Bo gdzieś pan pracuje, prawda?

Teraz mężczyzna wyglądał na poirytowanego.

– Owszem. Pracuję.

– Przepraszam za niego – wydukałam. – On się tylko z panem droczy. Te bajgle są zupełnie jadalne. Widzi pan? – Złapałam pierwszego z brzegu wystawy i ugryzłam większy kawałek, niż było to konieczne. Prze-

żuwałam i przeżuwałam, podczas gdy Ryan i mężczyzna obserwowali mnie zmieszani i skrepowani.

Odchrząknęłam.

– Doskonale jadalny – dodałam ciszej.

– Jeśli byłaby pani tak miła, to wziąłbym jednego doskonale jadalnego bajgla. Tylko może nie tego, którego właśnie pani ugryzła.

Z całych sił próbowałam powstrzymać krew w moim organizmie przed napływaniem do policzków, które i tak pewnie były już jaskrawoczerwone. Nawet nie spytałam go, jaki ma być ten bajgiel, po prostu wrzuciłam jednego do torby i postawiłam ją na ladzie.

– I poproszę też te pani wisienki.

W połowie przełykania zaczęłam się krztusić, co skończyło się dławieniem, a to doprowadziło do tego, że Ryan wałnął mnie w plecy o wiele za mocno.

– Moje wisienki? – spytałam. Jaki mężczyzna powiedziałby coś takiego tak... tak po prostu, kawa na ławę? A nawet jeśli...

– Poproszę tartę z wiśniami – powiedział, ale widząc spokój, z jakim obserwował moje zażenowanie, zaczęłam podejrzewać, że jego pierwotny dobór słów wcale nie był przypadkowy.

Zapakowałam ciasto i postawiłam je na ladzie. Ryan mnie szturchnął, jakbym wcale nie była boleśnie świadoma tego, dlaczego namówił tego człowieka do zakupu tarty z wiśniami. Miałam teraz flirtować. Wiedziałam o tym.

Mężczyzna zapłacił i ruszył do wyjścia. A ja miałam wrażenie, że na mojej szyi zaciska się niewidzialna dłoń. Prawdopodobnie była to boska interwencja, bo jeśli w tym momencie udałooby mi się coś z siebie wydusić, z pewnością byłoby to strasznie dziwne.

– Chwileczkę! – Ryan ponownie mnie dźgnął. – Moja przyjaciółka chce pana o coś zapytać.

Facet odwrócił głowę i zerknął na mnie kątem oka. Gdybym nie wiedziała lepiej, mogłabym powiedzieć, że wyraz jego twarzy świadczył o tym, że on doskonale zdaje sobie sprawę, o czym myślę. I o czym myśli moje ciało.

– Nie podaś mi pan swojego imienia – powiedziałam.

Widziałam, że Ryan patrzy na mnie z wyrazem twarzy mówiącym: „I to nazywasz flirtowaniem?”, ale próbowałam go zignorować. Przecież dopiero się rozgrzewałam.

– William – odparł mężczyzna, złośliwie się uśmiechając. – Czy powinienem mówić do pani po prostu Wisconsinka?

To cud, że nie zemdlałam, bo miałam wrażenie, że w stronę mojej twarzy popędziły całe litry krwi. Musiał wiedzieć, że jestem dziewczyną. Jakimś cudem wiedział. Być może istniało tajne stowarzyszenie seksownych facetów, którzy przekazywali sobie dane lokalnych dziewczyn. A może wystarczyło na mnie spojrzeć i wszystko stawało się oczywiste.

Wiedziałam, że Ryan nie da mi żyć, jeśli moje flirtowanie ograniczy się do pytania klienta o imię, rzuciłam się więc na głęboką wodę i próbowałam go kokietować,

mając przy tym wrażenie, jakbym próbowała jeździć rozklekotanym starym samochodem, który spędził w garażu ostatnie dwadzieścia pięć lat.

– Może mnie pan nazywać, jak pan chce – odparłam.

Prawie... prawie oparłam dłoń na biodrze jak w jakiejś parodii namiętnej uwodzicielki, ale nawet ja wiedziałam, że to byłoby zbyt wiele. Nawet nie patrząc na Ryana, czułam, jak się krzywi i próbuje powstrzymać śmiech. Pomińmy już to, że wcale nie chciałam być nazywana Wisienką, bo brzmiało to jak ksywa panienki na jedną noc, ale sposób, w jaki zniżyłam głos, by wypowiedzieć te słowa, będzie prześladować mnie przez resztę życia.

Mężczyzna patrzył, skupiając na mnie całą uwagę; zmrużył oczy i jeden kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. Jeśli zauważył moją nieporadność, to nie dał tego po sobie poznać.

– Ostrożnie. Bo mogę skorzystać z tej propozycji.

Ryan, który stał w takim miejscu, że tamten go nie widział, wymachiwał pięścią, co w ogóle nie pomagało mi w koncentracji.

– Naprawdę? – spytałam.

Gdybym miała jakieś doświadczenie w wymianie zdań, pewnie powaliłabym mężczyznę swoją odpowiedzią, on jednak zachowywał się tak, jakby banalność tego słowa mu nie przeszkadzała. Po prostu stał, wyglądał, jak gdyby w ogóle się nie śpieszył, i całkowicie nad sobą panował. Przyglądał mi się uważnie. Po chwili włożył do

ust kawałek bajgla i przytrzymał go zębami. Ryzykancko włożył pudełko z tartą pod pachę, po czym wziął do ręki stojący na ladzie ozdobny wazon z kwiatami, kiwnął do mnie przyjaźnie głową i zaczął wychodzić.

– Co pan robi? – spytałam. Mój mózg próbował znaleźć jakieś wyjaśnienie, ale nieskutecznie. Byłam pewna, że facet chce mi ukraść kwiaty.

– Przepraszam – powiedział niewyraźnie z powodu trzymanego między zębami bajgla. – Kradnę różne rzeczy. To choroba – dodał, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Wyszedł z piekarni bez słowa czy uśmiechu.

– Wow! – Ryan zaczął klaskać. Nie miałam zamiaru się do niego przyłączać. – Co za fantastyczny facet! Za jednym zamachem dobrał się do twoich wisienek i jeszcze zabrał ci kwiaty. Szacun.

Oparłam się na łokciach i wypuściłam powietrze – w ogóle nie zorientowałam się, że je wstrzymywałam.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to zapłacił za moje wisienki – powiedziałam kwaśno. – Ukradł tylko kwiaty.

Ryan prychnął.

– Niegrzeczna, niegrzeczna dziewczynka.

Walnęłam go w rękę, ale jednocześnie uśmiechnęłam się.

– Jesteś straszny. To wszystko twoja wina. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Podszedł do miejsca, z którego William zabrał kwiaty, i podniósł coś, co wyglądało jak wizytówka.